ekstrakt z kwiatów wiśni

w cieniu kwitnącej wiśni świętowaliśmy pomyślne diagnozy
na przyszłość. skreślanie właściwych punktów na mapach dni
weszło w taki sam nawyk jak zapinanie guzików, sprawdzanie
pulsu. skupiska myśli obrastały łagodnym i całkiem nowym

doznaniem ulgi. biel płatków pozwalała wierzyć w niewinność
recept. skóra przybrała zdrowszy odcień. tym razem udało się oddalić
wizję apokalipsy, która miała dotyczyć tylko małego świata, wyspy
gdzieś w śródmieściu, trzydzieści pięć metrów kwadratowych

wspólnej codzienności. na balkonie znów zakwitną aksamitki.
gdzieś w japonii całe rodziny wróżą z kruchości kwiatów, nim
opadną miękkim i ciepłym śniegiem. to tylko kilka chwil, a my
oddaleni tysiące kilometrów, wróżymy podobnie. nasze drzewko

ma dopiero trzy lata. pielgrzymujemy tu co roku. w zawiniątku
serca niosąc modlitwę o remisję lęku do najdalszych krańców
świata. szpak nocy zacienia horyzont. zostanie tylko odrastanie
włosów, zawiązywanie owoców, ciche kwilenie piskląt.

notatki eskapistki

siła małych radości wyrzuca nas daleko, gdzie ląd bywa
najtwardszy i najmniej przyjazny do zawiązywania losu
w supełki pewności. stare bukłaki pękają pod naporem
młodego wina. szukamy nowych przejść, potwierdzenia

tożsamości każdej sekundy. nie różnimy się wiele
od polnych kwiatków. życie we wszelkich przejawach
bywa dokuczliwe niczym ukąszenie komara. odwracamy
klepsydry kamieni. pod nimi zapach ziemi, śmierci

uwodzący w przewrotny sposób. narybek przebłyskuje
pod wilgotnym naskórkiem strumienia. to jest jak
odebranie listu poleconego. nikt za nas. my za nikogo
innego. pod opuszkami sprężystość źdźbła. arterie

dolin utkane mgłą. bliżej. tu jesteśmy bliżej siebie.
wdychamy kobaltowy błękit. z prochu jesteśmy,
z myśli nagłej, która jak strzała jaskółki obniża lot,
zwiastuje amen wszystkim rzeczom widzialnym.

kot sokratesa

odkupieni, przedśmiertną, listopadową ciszą,
bo wszystko w sen zapadnie, w zamyślenie. sen
uniesie te wszystkie barwy i wonie od których
nabieramy przeświadczenia, że pożegnania mają

sens. coraz gorzej znosimy poranne chłody.
w cenie wełniane skarpety i kraciaste pledy. kot
nie porzuca swoich dróg. wciąż poluje na ptaki.
wciąż wierzy w ciąg przeznaczenia skacząc z dachu

przybudówki wprost na rdzawy splątany gąszcz.
trzeba posprzątać. oczyścić ogród. melancholia
osiadła mgłą. pomarszczone owoce jarzębin
czekają swego kresu. kot łowi w tęczówki blade

promienie. nie straszny mu hades gnijących
roślin, długich wieczorów. każdy szelest wabi
obietnicą zdobyczy. wiatr w pyszczek rzuca
kłębkami chłodu. biegnie przez brunatne grządki

syty przepowiedni. w bursztynowym futrze
pieszczota deszczu. jeszcze przeskoczy
przez ciasną bramę. spadnie na cztery łapy.
pewny proroctw nigdy nie wypowiedzianych.